



Andrzej Kohut

# Ameryka

## Dom podzielony



Świat pełen jest wyrw, załamów, pęknięć – zarówno tych fizycznych, jak i niewidocznych gołym okiem szczelin rzeczywistości. Aby móc docierać do tego, co niepoznane, stworzyliśmy Szczeliny, poświęcony literaturze faktu imprint Wydawnictwa Otwartego. Pragniemy zrozumieć otaczające nas zjawiska, dlatego oddajemy głos ekspertom, którzy najlepiej potrafią wytłumaczyć zawłości współczesnego świata.

Andrzej Kohut

# **Ameryka**

## Dom podzielony



**SZCZELINY**

Kraków 2022

Copyright © by Andrzej Kohut

Copyright © for this edition by Wydawnictwo Otwarte 2022

Opieka redakcyjna: Rafał Czech

Redakcja tekstu: Maciej Żemojtel

Wnętrze – projekt graficzny serii: Wydawnictwo Otwarte

Adiustacja: Renata Włodek / Wydawnictwo JAK

Korekta: Anna Kopeć-Śledzikowska / Wydawnictwo JAK,  
Joanna Holdys / Wydawnictwo JAK

Lamanie: Andrzej Choczewski / Wydawnictwo JAK

Okładka – projekt graficzny serii: Łukasz Piskorek

Adaptacja okładki na potrzeby niniejszego wydania:  
Monika Drobnik-Słocińska

Fotografia na okładce: Probal Rashid / Zuma Press / Forum

ISBN 978-83-8135-181-2



**SZCZELINY**

Zajrzyj do Szczelin!

[szczeliny.pl](http://szczeliny.pl)

[facebook.com/szczeliny](https://facebook.com/szczeliny)

[instagram.com/szczeliny](https://instagram.com/szczeliny)

Dystrybucja: SIW Znak. Zapraszamy na [www.znak.com.pl](http://www.znak.com.pl)

*For we must consider that we shall be as a city upon a hill. The eyes of all people are upon us. So that if we shall deal falsely with our God in this work we have undertaken, and so cause Him to withdraw His present help from us, we shall be made a story and a by-word through the world.*

JOHN WINTHROP

*A Model of Christian Charity, 1630*

*A house divided against itself cannot stand.*

ABRAHAM LINCOLN

*House Divided Speech, 1858*

*Today, once again, we are a house divided, but that, my friends, can no longer be. We are facing too many crises, we have too much work to do, we have too bright a future to have it shipwrecked on the shoals of anger and hate and division.*

JOE BIDEN

*Remarks by Vice President Joe Biden in Gettysburg, Pennsylvania, 2020*

Kasi, Emilce i Nikosiowi

## Od autora

Nie było mnie tam. Kiedy Stany Zjednoczone przeżywały najtrudniejszy rok swojej najnowszej historii, nie mogłem obserwować tego na żywo. W marcu 2020 roku Donald Trump zdecydował o zamknięciu granic z powodu pandemii. Amerykanie musieli się zmierzyć ze swoimi problemami sami. Paradoksalnie przeżyłem 2020 rok – podobnie jak wielu ludzi w USA – obserwując wydarzenia z domu, za pośrednictwem ekranu. Pandemia sprawiła, że świat skurczył się do rozmiarów monitora.

Nawet gdyby Trump nie zamknął granic, a ja jakimś sposobem dotarłbym za ocean, niekoniecznie zobaczyłbym więcej na własne oczy. Dlatego starałem się szukać oparcia w faktach, liczbach, statystykach i opracowaniach naukowych. Wsłuchiwałem się w wypowiedzi dziennikarzy i komentatorów. Analizowałem

wypowiedzi polityków i głosy oddane przez wyborców. Starając się domyślić przyczyn jakiegoś zjawiska, nie ograniczałem się do jednej teorii. Wędrowałem w różnych kierunkach, tak by czytelnik, podążając moim śladem, sam mógł zdecydować, co wydaje się mu najbliższe prawdy.



# Prolog

Na nagraniu widać czarnoskórego policjanta, który cofa się przed napierającym tłumem. Wspina się na kolejne stopnie schodów, a agresywnie wyglądający mężczyźni podążają za nim. Czasami wymachuje w ich kierunku pałką, ale nie podejmuje zdecydowanej interwencji. Próbuje wezwać posiłki przez krótkofalówkę. Wreszcie wszyscy docierają do przestronnego holu, gdzie pojawiają się inni oficerowie policji. Film się urywa.

Kiedy reporter liberalnego portalu HuffPost, Igor Bobic, opublikował to nagranie na Twitterze, internet nie miał litości dla samotnego policjanta. Podawano w wątpliwość jego postępowanie: „Dlaczego nie strzelił im w kolana?”\*. „Ten gliniarz ma pałkę, dlaczego jej nie

---

\* Wszystkie cytaty – z wyjątkiem cytatów z dzieł, których tłumacze zostali wskazani w bibliografii – w przekładzie Andrzeja Kohuta.

używa?”. „Dlaczego mówi im, żeby się cofnęli, a później sam się cofa?”. Doszukiwano się spisku: „Samotny strażnik? To musiało być zaplanowane, nie ma szans”. „Nie wygląda na przerażonego. Raczej jakby ich prowadził”. Wreszcie kwestionowano prawdziwość nagrania: „Wygląda na ustawione. Dlaczego ktoś to nagrywa?”.

Trwający minutę i 25 sekund materiał użytkownicy Twittera wyświetlili ponad 10 milionów razy. Ale chyba nikt z oglądających wówczas te sceny nie wiedział, że właśnie patrzy, jak pewien czarnoskóry policjant, Eugene Goodman, staje się bohaterem. Ujawniają to dopiero nagrania z innych kamer i całościowa rekonstrukcja wydarzeń. Kiedy Goodman cofa się przed tłumem, znajdujący się tuż obok sali obrad Senatu senatorowie i wiceprezydent Mike Pence są właśnie ewakuowani. Na drugim nagraniu widać, jak w pośpiechu przebiegają przez korytarz, na którego końcu Goodman właśnie stara się sprowokować tłum, by poszedł w inną stronę. Uzbrojony jedynie w pałkę policjant, wykazując się ogromną odwagą i przytomnością umysłu, uratował wielu amerykańskich senatorów przed spotkaniem z protestującymi. Spotkaniem, które mogło okazać się wyjątkowo niebezpieczne.

Historia Goodmana doskonale pokazuje, jak trudno jest ustalić, co rzeczywiście się stało, mimo że uczestnicy wydarzeń nagrywali i fotografowali, umieszczali filmy i zdjęcia w sieci, a eksperci i amatorzy analizowali je w telewizyjnych studiach i sekcjach komentarzy

na portalach społecznościowych. Szturm tłumu na amerykański Kapitol w dniu, w którym senatorowie zgromadzili się, by policzyć głosy elektorские i ostatecznie ogłosić, kto wygrał wybory prezydenckie, został zauważony przez media na całym świecie. Również polskie stacje szybko zaczęły prezentować relację przedstawiającą policjantów ścierających się z protestującymi, wyłamywane przez napierający tłum drzwi, wybijane okna, senatorów kryjących się pod krzesłami. Jeden z najbardziej pamiętnych obrazków przedstawiał Kapitol spowity dymem, ludzi wspinających się na mury oraz zwieszające się tu i ówdzie banery wyborcze Trumpa. Zupełnie jakby zwycięska armia właśnie wdzierła się do oblężonego miasta.

Obok dramatycznych scen były inne, niemal zabawne, gdyby nie to, że na sąsiednich korytarzach właśnie ginęli ludzie. Starszy pan w baseballowej czapeczce, flanelowej koszuli, dżinsach i kowbojskich butach, który wykorzystał okazję, by uwiecznić siebie na zdjęciu w senatorskim fotelu. Pani, która rozsiała się w jednym z biur, aby zrobić selfie, paląc przy tym skręta. Grupa demonstrantów, która przypominała szkolną wycieczkę, grzecznie maszerując pomiędzy barierkami. Wytatuowany mężczyzna w stroju szamana, z amerykańską flagą wymalowaną na twarzy (okazał się nim Jake Angeli, zwolennik Trumpa, aktywista i propagator teorii spiskowych).

Podczas kolejnych wydań specjalnych w telewizjach informacyjnych, zorganizowanych pospiesznie w wieczór święta Objawienia Pańskiego, wraz z innymi zaproszonymi gośćmi staraliśmy się odgadnąć, co tak naprawdę kryje się za marszem na Kapitol. Prawdziwe powstanie? Zaplanowany atak? Tłum, którego nie udało się opanować? I kto się w tym tłumie znalazł? Prawdziwi terroryści, a może gapie, którzy przypadkowo przedarli się przez ogrodzenie? Dramat czy groteska? Komentowaliśmy niepewnie, licząc na to, że z czasem sprawa zacznie się wyjaśniać.

Tak się jednak nie stało. Choć minęło kilka miesięcy, a nawet powstała specjalna komisja Izby Reprezentantów do zbadania wydarzeń na Kapitolu, nie mam wrażenia, że zbliżyliśmy się do chwili, w której zdecydowana większość oglądających tamte wydarzenia zgodzi się na jedną wersję tego, co widziała. Powodów jest wiele.

Zdarzenia w budynku Kapitolu stały się tematem politycznym, a więc plemiennym. Podziały w amerykańskiej polityce nieco przypominają te w Polsce. Każdy medialny temat szybko zostaje zinterpretowany odmiennie przez każdą ze stron, a następnie ta interpretacja staje się kolejnym kamieniem, którym można cisnąć w oponentów. Tuż po 6 stycznia demokratom mogło się wydawać, że oto nastąpił przełom. Że nastąpiła ostateczna kompromitacja Donalda Trumpa, od którego odwrócą się wyborcy, a republikańscy politycy

**Ameryka. Dom podzielony**

poszukają bardziej wyważonej wizji programowej. Ona zresztą i tak nie pomoże im w zatrzymaniu wyborców, bo ci będą również ich winić za to, co wydarzyło się tego dnia. Demokraci ostatecznie zatriumfują. Ta wizja nie przetrwała jednak długo.

Większość republikanów zamilkła po 6 stycznia, czekając na rozwój wypadków. Ci, którzy uznali, że nadszedł czas, by się z Trumpem pożegnać – jak senator Lindsey Graham – szybko się przekonali, że ich wyborcy wcale nie podążyli za narracją liberalnych mediów. Graham, oprócz ataków w internecie, doświadczył konfrontacji z rozgniewanym tłumem na waszyngtońskim lotnisku. Badanie portalu ankietowego YouGov, przeprowadzone bezpośrednio po tych wydarzeniach, wskazywało, że o ile niemal połowa zarejestrowanych wyborców uznawała uczestników szturmu na Kapitol za terrorystów, o tyle wyborcy republikańscy nazywali ich przede wszystkim „protestującymi”, a jedna trzecia z nich nawet „patriotami”. Gdy więc 13 stycznia, tydzień po dramatycznych zdarzeniach, demokraci podjęli próbę usunięcia Trumpa z urzędu prezydenta za sprowokowanie tłumy do szturmu, podczas głosowania poparło ich zaledwie 10 republikanów. Prawie 200 było przeciw.

Partyjno-plemienny podział panujący między republikanami i demokratami, a także między konserwatywnymi i liberalnymi mediami, do dziś uniemożliwia ustalenie przebiegu zdarzeń na Kapitolu w wersji akceptowalnej dla każdego Amerykanina. Trudność nie

wynika tylko z różnic politycznych, jest jeszcze coś – cykl życia newsów. Bezpośrednio po 6 stycznia media bombardowały swoich odbiorców kolejnymi zdjęciami, nagraniami, teoriami i komentarzami. Do tego dochodziły wciąż nowe, wzbudzające liczne komentarze zdarzenia: zablokowanie kont Trumpa w mediach społecznościowych, impeachment, bezpieczeństwo zbliżającej się inauguracji prezydentury Bidena. Zanim ten natłok informacji został jednak należycie przeanalizowany, publiczność zmęczyła się tematem, a media były zmuszone poszukać czegoś innego. Amerykańska opinia publiczna zaczęła żyć kosztownymi planami reform nowego prezydenta. W Polsce natomiast wróciliśmy do własnego partyjno-plemiennego podziału. O cudzym zapomnieliśmy.

Zanim temat Kapitolu zniknął z nagłówków, część widzów i czytelników zdążyła jeszcze poznać historię Eugene’a Goodmana. Oficer dostąpił zaszczytu eskortowania Kamali Harris (pierwszej kobiety na stanowisku wiceprezydenta, w dodatku o hindusko-jamajskich korzeniach) podczas prezydenckiej inauguracji. W uznaniu za bohaterstwo otrzymał złoty medal Kongresu. Mimo to prawdopodobnie wiele milionów ludzi wciąż pamięta go jedynie jako tchórzliwego policjanta, który cofa się, zamiast walczyć, albo wręcz sam jest jednym ze „spiskowców”.

Dla Stanów Zjednoczonych rok 2020 okazał się wyjątkowo burzliwy: pandemia, która uderzyła z wielką

siłą, kryzys zmuszający władze do pompowania bilionów dolarów w ratowanie gospodarki, by nie dopuścić do katastrofy, wybory prezydenckie, które zakończyły się zakwestionowaniem ich wyniku przez urzędującego prezydenta. Wreszcie spóźniony finał – człowiek-szaman i jego ludzie czujący się jak u siebie w domu w świątyni amerykańskiej demokracji. Chwilami Ameryka wyglądała na słabszą niż kiedykolwiek wcześniej. Kiedy pandemiczne wykresy dramatycznie rosły, a Donald Trump wołał, że doszło do największego fałszerstwa w historii, trudno było się nie zastanawiać, czy nie kończy się właśnie pewna epoka. A potem newsowy cyrk popędził dalej, nie zostawiając czasu na namysł i poszukiwanie źródeł problemów. Aby zrozumieć ich sens, trzeba na nowo przyjrzeć się zdarzeniom tego niezwykłego roku oraz postarać się zrozumieć, jaki wpływ miały i mieć będą na rzeczywistość. Należy poszukać przyczyn amerykańskiej choroby. Tylko czy nie jest za późno? Czy pacjent może jeszcze wyzdrowieć?

Część I

**Ameryka kontra  
Ameryka**



# Rozdział 1

## **Te wybory zostały sfalszowane!**

Wybory prezydenckie w Stanach Zjednoczonych odbywają się we wtorek, po pierwszym poniedziałku listopada. Kiedy 23 stycznia 1845 roku amerykański Kongres wskazał ten termin jako odpowiedni, większość Amerykanów wciąż żyła na farmach. Dla rolników wiosna i lato były czasem intensywnej pracy. W zimie zaś przemieszczanie się było bardzo utrudnione, co mogłoby uniemożliwić wielu wyborcom dotarcie na miejsce głosowania. Dlatego późna jesień wydawała się idealna. Niedziela była (i jest) dla chrześcijan dniem świętym, w którym należy się skupić na modlitwie i świętowaniu, nie zaś na podróżowaniu i polityce. Wybory mogłyby się odbyć w poniedziałek, ale niektórzy, by dotrzeć na wyznaczone miejsce, musieliby wyruszyć dzień wcześniej. Wybory trzeba było więc odsunąć do wtorku. Dziś na farmach pracuje mniej niż 2% Amerykanów, teoretycznie więc można by sobie wyobrazić zmianę tego

przepisu. Dla wielu obywateli nie ma to jednak większego znaczenia. W 2020 roku aż 100 milionów głosujących (ze 160 milionów) oddało głos wcześniej – osobiście lub za pośrednictwem poczty.

Popularność wcześniejszego głosowania – mimo że mogłoby się wydawać inaczej – nie przyspiesza bynajmniej ogłoszenia wyników. Stany Zjednoczone trzymają się tradycji nie tylko w sprawie dnia wyborów. Trzeba zacząć od tego, że Amerykanie wcale nie wybierają swojego prezydenta. Tak, to nie pomyłka, raz jeszcze powtórzę: Amerykanie nie wybierają swojego prezydenta. Głosują za tym, kogo ma poprzeć ich stan w ostatecznych wyborach. Nie liczy się ich indywidualny głos. W ciągu ostatnich dwóch dekad dwukrotnie prezydentem został kandydat, który nie otrzymał większości głosów: George W. Bush w 2000 roku i Donald Trump 16 lat później. Stało się tak, ponieważ w rzeczywistości amerykańskiego prezydenta wybiera kolegium elektorskie.

Komisje liczą głosy oddane przez obywateli, a wyniki zatwierdzają następnie władze stanowe. Kandydat, który zwycięża, w większości przypadków otrzymuje wszystkie głosy elektorskie, jakimi dysponuje dany stan (inaczej jest tylko w Maine i Nebrasce, które podzielono na dystrykty i dlatego możliwy jest podział głosów między kandydatów). Liczba elektorów każdego ze stanów wynika z tego, ilu ma on kongresmenów w Izbie Reprezentantów (co z kolei zależy od wielkości

populacji stanu). Do tego kwantum trzeba jeszcze dodać dla każdego ze stanów dwa dodatkowe głosy, odpowiadające liczbie senatorów. Dlatego w 2020 roku ludna Kalifornia miała 55 elektorów, a niewielkie Delaware zaledwie 3. W sumie jest więc 535 elektorów, którzy odpowiadają 435 kongresmenom i 100 senatorom. Dodatkowo 3 głosy przypadają stołecznemu Dystryktowi Kolumbii, który nie posiada reprezentacji w Kongresie, ale może wybierać prezydenta – łącznie zatem 538. Do zwycięstwa w wyborach prezydenckich potrzeba zdobyć ponad połowę, czyli minimum 270 głosów elektorskich.

Aby zagłosować, elektorzy z każdego stanu spotykają się w jego stolicy w poniedziałek, po drugiej stronie grudnia. Głosy elektorów są następnie przesyłane do Senatu, gdzie 6 stycznia, podczas sesji, której przewodzi wiceprezydent Stanów Zjednoczonych, następuje ich oficjalne przeliczenie. Kiedy Senat zaakceptuje wynik – Amerykanie ostatecznie poznają zwycięzcę.

Dlaczego istnieje tak długa i zawila procedura? Po pierwsze – Stany Zjednoczone nie są jednolitym państwem, lecz organizmem złożonym ze stanów cieszących się sporą autonomią. Gdyby przyjęto powszechne głosowanie za metodę wyboru prezydenta, o losach Ameryki decydowałyby wyłącznie wielkie i ludne stany. Jakie znaczenie miałby głos 600 tysięcy mieszkańców Vermontu przy 40 milionach mieszkańców Kalifornii? Po drugie – w teorii system miał chronić przed wyborem nieodpowiedniego kandydata. Gdyby obywatele

postanowili zaufać oszustowi, kolegium elektorskie mogłoby ten wybór utracić. W praktyce nigdy do tego nie doszło (choć były przypadki „niewiernych” elektorów, głosujących wbrew woli wyborców).

Tak skomplikowany proces ma jednak wiele skutków ubocznych. Pierwszy, już wspomniany przykład dotyczy kandydatów, którzy zdobyli mniej głosów, a wybory wygrali. Przykład kolejny: w wielu stanach od lat żaden kandydat nie prowadził działań kampanijnych, bo z góry wiadomo, że wygra tam republikanin albo demokrat. Godny podziwu jest obywatelski zapał wyborców przegranej strony. Ich głos czasem już od dekad nie ma żadnego znaczenia. Ostatnim republikaninem, który zgarnął głosy elektorskie ze stanu Nowy Jork, był Ronald Reagan w 1984 roku. Od tego czasu nowojorscy wyborcy republikańscy mogliby równie dobrze nie istnieć, podobnie jak ich głosy.

Trzeci przykład – choć w głosowaniu powszechnym wygrywa jeden kandydat, to w głosach elektorskich rezultat rywali jest bardzo zbliżony. Zdecydować może więc jeden stan, w którym różnica głosów jest minimalna. Dodatkowo właśnie w tym stanie dochodzi do trudności z liczeniem głosów, a jego gubernatorem jest rodzony brat kandydata, który otrzymał mniej głosów w skali kraju. I to on nadzoruje liczenie głosów, które przeciąga się do kilku tygodni. W pewnej chwili wkracza Sąd Najwyższy, który decyduje o przerwaniu ponownego przeliczania. Mniej popularny kandydat

ma o 500 głosów więcej od rywala (na blisko 6 milionów głosów oddanych w tym stanie) i to on zyskuje głosy elektorskie oraz zwycięża w wyborach. Mimo że w skali całego kraju zdobył o pół miliona głosów mniej! Nie zmyśliłem tego. Tak wyglądała przewaga George'a W. Busha nad Alem Gore'em w 2000 roku. Zdecydowały głosy Florydy, gdzie gubernatorem był wówczas Jeb Bush.

Mimo to największy problem z kolegium elektorów objawił się w pełni dopiero 20 lat później. Sprawcą zamieszania stał się Donald Trump.

W czasach pasków w telewizjach informacyjnych i 6 tysięcy tweetów wysyłanych w każdej sekundzie nikt nie chce czekać przez 2 miesiące, aż ostateczny wynik wyborów zostanie zatwierdzony przez Senat. Od lat praktykuje się ogłaszanie zwycięzcy już w kilka godzin, czasem kilka dni, po zamknięciu lokali wyborczych. Prezenterzy stoją w studiach przed olbrzymimi mapami kraju, na których stopniowo pojawia się coraz więcej czerwonych i niebieskich plam wskazujących, kto wygrał w poszczególnych stanach (czerwony to oficjalny kolor republikanów, niebieski – demokratów). Na dole ekranu licznik wskazuje, na ile głosów elektorskich mogą liczyć kandydaci. Jeśli przy którymś nazwisku pojawi się 270 lub więcej, to mamy zwycięzcę.

Amerykańskie telewizje i gazety rzadko czekają jednak na chwilę, w której w danym stanie zostaną policzone wszystkie głosy (nie mówiąc o oficjalnym

zatwierdzeniu, bo to może trwać tygodniami). Największe z nich – na podstawie własnych analiz – ogłaszają, kiedy ich zdaniem wynik w Karolinie Południowej albo Michigan jest już pewny. Z jednej strony starają się nie popełnić błędu, bo to obniżałoby ich wiarygodność, z drugiej zaś zależy im, aby wyprzedzić konkurencję. Bycie pierwszym gwarantuje, że przez jedną wspaniałą chwilę wszystkie media w kraju będą powtarzały: „CNN ogłosił, że Trump wygrał w Ohio” albo „Oregon dla Bidena, podaje »New York Times«”. Pod koniec emocje sięgają zenitu. Wtedy wynik jednego stanu może przesądzić o zwycięstwie republikanina lub demokracji. Przebieg liczenia głosów zaczyna mieć zasadnicze znaczenie dla komentatorów.

W 2020 roku największe emocje wywoływała Arizona, a wszystko za sprawą konserwatywnej stacji Fox News, która jako pierwsza ogłosiła zwycięstwo Joe Bidena w tym stanie. Był to ruch bardzo ryzykowny. „Wciąż pozostaje ponad milion głosów z dnia wyborów do policzenia; zachęcaliśmy naszych ludzi do głosowania w dzień wyborów, a teraz Fox News próbuje unieważnić ich głosy” – pieklił się na Twitterze Jason Miller, doradca polityczny prezydenta Trumpa. Przegrana Trumpa w Arizonie oznaczała, że znikają jego szanse na zwycięstwo. Dopóki wynik w tym stanie był nierozstrzygnięty, jego wyborcy wciąż mogli wierzyć w ostateczny sukces. Tymczasem porażkę ogłosiła telewizja uchodząca za bardziej przyjazną dla republikanów, co

miało większą wagę, niż gdyby zrobiła to na przykład CNN, którą Trump od dawna atakował za szerzenie „falszywych informacji” na swój temat.

Odpowiedzialny za tę decyzję redaktor działu politycznego Fox News, Chris Stirewalt, tłumaczył później na łamach „Los Angeles Times”, że zawsze robił wszystko, by jako pierwszy dotrzeć z „gorącą” informacją do swoich odbiorców, wyprzedzając konkurencję. „Byłem dumny, że jako pierwsi ogłosiliśmy, iż Joe Biden wygra w Arizonie”. Stirewalt trafnie przewidział wynik. Nie uratowało to jednak jego posady. Kanał Fox News zwolnił go niespełna 3 miesiące później. Biden zwyciężył o 0,3%, nieco ponad 10 tysięcy głosów! Ogłoszenie wyniku, kiedy do policzenia pozostawał ich ponad milion, było jak hazardowy zakład. Rozpętała się prawdziwa burza.

„Oszukali amerykańską opinię publiczną. To wstyd dla naszego kraju” – mówił po ogłoszeniu informacji przez Fox News prezydent Trump, przemawiając na tle amerykańskich flag w Pokoju Wschodnim Białego Domu. „Przygotowywaliśmy się do wygrania tych wyborów. Szczerze mówiąc, wygraliśmy te wybory”. Jednym zdaniem: wybory zostały sfalszowane!

Sympatycy Trumpa nie mogli zresztą być zaskoczeni, prezydent całymi miesiącami zapowiadał, że jego przeciwnicy przygotowują się do ogromnych fałszerstw, wykorzystując wady głosowania korespondencyjnego. Głosowanie za pośrednictwem poczty jest popularną

metodą w Stanach Zjednoczonych, ale w 2020 roku ze względu na pandemię jeszcze więcej osób chciało skorzystać z tej możliwości. Republikanie od lat obawiają się jednak, że głosowanie korespondencyjne wpływa negatywnie na uzyskiwane przez nich wyniki, i dlatego wskazują na zagrożenia związane z taką formą głosowania. Po wyborach Trump natychmiast podchwycił ten wątek, przekonując, że doszło do masowego fałszowania głosów, ale nie ograniczył się tylko do tego. Korzystając ze swojego niesamowitego zasięgu na Twitterze (gdzie jego konto obserwowało ponad 90 milionów użytkowników), lansował każdą niesprawdzoną historię, która mogłaby posłużyć do podważenia wiarygodności procedury wyborczej.

Na przykład konserwatywny publicysta Matt Mackowiak zauważył jakoby coś niezwykłego – otóż nagle pojawiło się ponad 100 tysięcy nowych głosów w stanie Michigan, wszystkie oddane na Joe Bidena. Mackowiak podzielił się tą informacją na Twitterze, sądząc, że znalazł dowód na manipulację rezultatami. Wątpliwości szybko podjął sam prezydent, który przedstawił je jako jednoznaczny dowód na trwający właśnie spisek. Ale żadnych 100 tysięcy głosów nie było. Ktoś popełnił błąd przy przepisywaniu danych z jednego arkusza do drugiego. Lapsus poprawiono, a Mackowiak skasował tweeta, przyznając się jednocześnie do pomyłki. Sprostowania Mackowiaka nikt nie zauważył. Pogłoska o tysiącach dopisywanych po kryjomu głosów na Bidena żyła



swoim życiem jeszcze przez wiele dni. Zastanawiacie się dlaczego? Prezydent Trump do błędu się nie przyznał.

Inna legenda, która zyskała popularność, to „głosowanie zmarłych”. W trakcie liczenia pojawiły się głosy bardzo starych wyborców. Na przykład 118-letniego Williama Bradleya z Detroit, który w rzeczywistości nie dożył tak sędziwego wieku. Zmarł w latach osiemdziesiątych. Skąd zatem pomyłka? Pod tym samym adresem mieszka jego syn, również William Bradley. Pan Bradley junior nie głosował dotąd korespondencyjnie, ale ze względu na pandemię spróbował. Urzędnik przez pomyłkę wysłał do niego kartę z danymi jego ojca (bo starszemu panu Bradleyowi zdarzało się głosować za pośrednictwem poczty), a Bradley junior pomyłki nie zauważył i po prostu oddał głos.

Do internetu wyciekła nawet lista 14 tysięcy zmarłych obywateli stanu Michigan, którzy zagłosowali w ostatnich wyborach. Dziennikarze podjęli trud zweryfikowania tych nazwisk i okazało się, że większość „podejrzanych” rzeczywiście nie żyje, ale i nie głosowała. Niektórzy żyją i oddali głos, w ich przypadku najczęściej chodziło o błąd w dacie urodzin. Jeszcze inni żyją, ale nie głosowali. W imieniu żadnego z nieżyjących nie oddano fałszywego głosu.

Jeden z najpoważniejszych zarzutów płynących z obozu Trumpa dotyczył komputerowych systemów firmy Dominion, działających na maszynach do głosowania w 28 stanach. Dowodów na rzekome fałszerstwa

nie znaleziono, a sama firma wytacza dziś procesy o zniesławienie konserwatywnym mediom i ludziom z otoczenia Trumpa.

Sądy miały zresztą mnóstwo pracy w związku z ostatnimi wyborami. Zespół prawny prezydenta wygenerował prawdziwą lawinę pozwów – najczęściej dotyczącą dosyć błahych uchybień. Niewiele jednak wskórał: większość spraw zakończyła się, zanim jeszcze na dobre się rozpoczęła, ze względu na brak dowodów lub błędy formalne. Pozew nie odmienił wyników głosowania w Pensylwanii. Biden zwyciężył tam o ponad 80 tysięcy głosów. Tym samym przekroczył barierę 270 głosów elektorskich. Stało się jasne, że 7 listopada – 4 dni po wyborach – zostanie prezydentem. Choć nie dla wszystkich.

Według sondażu opublikowanego przez serwis Politico zaledwie kilka dni po wyborach aż 70% republikańskich wyborców uznało, że wybory nie były „wolne i uczciwe”. Trump wciąż składał kolejne pozwy. Jego poplecznicy szukali dziur w amerykańskim systemie wyborczym, które mogłyby pozwolić na odwrócenie rezultatu. Wydłużała się lista „dowodów” na wyborcze fałszerstwa. Emocje budziły tak niewinne dotąd elementy procedury wyborczej, jak certyfikowanie głosów przez stany czy głosowanie elektorskie. Prezydent Trump liczył nawet, że Senat odrzuci przesłane mu głosy elektorskie i dojdzie do wyboru prezydenta przez głosowanie obydwu izb. W takiej sytuacji kongresmeni

i senatorowie nie głosują indywidualnie, głosy oddaje się stanami, a każdy z nich dysponuje jednym. Przewagę mieliby wtedy republikanie. Mimo że od wyborów mijały już tygodnie, a kolejne etapy procedury wyborczej niezmiennie wskazywały na zwycięstwo Bidena, wyborcy wciąż nie mogli być pewni, że to on złoży przysięgę podczas tradycyjnej inauguracji. Panująca w społeczeństwie niepewność oraz powszechne wzburzenie doprowadziły ostatecznie do wydarzeń, do których doszło 6 stycznia na Kapitolu.

Amerykańska demokracja, choć nie bez szwanku, wytrzymała jednak „test obciążeniowy”. Skomplikowana procedura wyborcza, czasem uważana za relikwiny przeszłości, okazała się skuteczna. Prezydent Trump – ani za pomocą kroków prawnych, ani podburzając opinię publiczną – nie doprowadził do zmiany rezultatu wyborów.

## Rozdział 2

# Rosjanie dali władzę Trumpowi?

„Pensylwania dla Donalda Trumpa. Donald Trump jest prezydentem Stanów Zjednoczonych” – ogłosił wyrażnie podekscytowany prezenter Fox News. O wiele mniej entuzjazmu dało się usłyszeć w głosie prowadzącego program w CNN, kiedy informował swoich widzów, że „potentat biznesowy” i „osobowość medialna” będzie od dziś tytułowana „prezydentem elektem”. To przecież nie mogło się wydarzyć. Tłum zgromadzony w Nowym Jorku na potężnym przyjęciu wyborczym demokratów trwał w przekonaniu, że sprawa jest rozstrzygnięta. Prezydentem USA miała zostać pierwsza kobieta w historii. Na największy koszmar polityczny od lat demokraci nie byli przygotowani. Sondaże do końca dawały przewagę Hillary Clinton. Według wszelkich prognoz kandydatka demokratów miała zgromadzić ponad 300 głosów elektorских, Trump nieco ponad 200.

Podobnie jak w polskich wyborach prezydenckich w 2015 roku, przewidywania okazały się błędne. Ostateczny zwycięzca do końca pozostał niedoceniony. Takie porównanie jest jednak zdradliwe. Specyfika amerykańskich wyborów sprawia, że dużo prościej jest popełnić poważny błąd. W polskich wyborach prezydenckich pomyłkę o 80 tysięcy głosów (mniej niż pół punktu procentowego) można wybaczyć. Nawet w ostatnim, wyjątkowo wyrównanym wyścigu Andrzej Duda pokonał Rafała Trzaskowskiego o około 400 tysięcy głosów. W Stanach Zjednoczonych 80 tysięcy głosów wystarczyło, aby Trump ogłosił zwycięstwo w 3 stanach (Wisconsin, Pensylwanii i Michigan). Tym samym otrzymał 46 dodatkowych głosów elektorskich, które przyczyniły się do jego, a nie Hillary Clinton zwycięstwa. Któż mógł się spodziewać, że błędna prognoza dotycząca 0,06% oddanych głosów pociągnie za sobą czteroletnią wizytę Trumpa w Białym Domu.

Z powyborczych analiz firm sondażowych wynika, że na ostateczny rezultat wpłynęli wyborcy, którzy w ostatniej chwili zdecydowali się poprzeć kandydata republikanów, a więc przedwyborcze prognozy ich nie uwzględniały. Wyborcy Trumpa często nie chcieli przyznać się ankieterom, na kogo oddadzą głos. Część z nich odmawiała rozmów z pracownikami firm sondażowych, co wpłynęło na zaburzenie wyników badań. Za największą pomyłkę uznano niedoszacowanie głosów białych, gorzej wykształconych mężczyzn,

**Ameryka. Dom podzielony**

zwłaszcza tych zamieszkujących regiony niemogące się otrząsnąć po upadku przemysłu. Sondażownie, przyznając się do błędu, obiecały solenną poprawę, po czym w 2020 roku pomyliły się ponownie. Media miały w tej sytuacji ułatwione zadanie: wystarczyło odgrzebać artykuły sprzed 4 lat, zatytułowane *Co poszło nie tak z sondażami w 2016?*, zmienić datę i opublikować znowu. Ale miały też o wiele większy problem. To przecież właśnie te portale i stacje od lat tłumaczyły, w jaki sposób powinien zachowywać się kandydat, by wypaść „prezydencko”, które błędy mogą z miejsca przekreślić czyjeś szanse i jak ocenić czyjś występ w debacie. Tymczasem Trump złamał opisywane przez nich zasady, jedna po drugiej, a na koniec i tak wygrał. To nigdy nie powinno się wydarzyć! I to z wielu powodów.

### **Jak prezydentem może zostać rasista?**

Zdarzało się w historii, że prezydenci kandydaci odwoływali się do rasowych uprzedzeń, ale robili to wyjątkowo dyskretnie. Na przykład jak Ronald Reagan, który podczas kampanii w 1980 roku wystąpił w hrabstwie Neshoba, by poprzeć większą niezależność stanów od rządu w Waszyngtonie. Być może byłaby to neutralna obietnica programowa, gdyby nie fakt, że kandydat złożył ją w Missisipi przed wyborcami z Południa USA. Dla nich hasło „większe prawa stanów” wciąż oznaczało „rząd federalny nie będzie się wtrącał i wymuszał desegregacji rasowej w naszym regionie”.

Dodatkowo kandydat republikanów wystąpił w miejscu oddalonym zaledwie o kilkanaście kilometrów od miasteczka Filadelfia. Doszło tam do mordu na aktywistach walczących o prawa wyborcze czarnoskórych obywateli, epizodu, który znany jest z filmu *Missisipi w ogniu*. Trudno więc uwierzyć, żeby, mimo zapewnień Reagana, stratedzy zajmujący się jego kampanią przeoczyli ten kontekst.

Trump nie potrzebował aluzji. „Sprowadzają narkotyki, dokonują przestępstw, są gwałcicielami” – mówił o meksykańskich imigrantach w przemówieniu otwierającym kampanię. Dlatego za swoją wielką misję uznał wybudowanie „pięknego, grubego muru”, który oddzieli Stany Zjednoczone od Meksyku. Co więcej, w jego koncepcji Meksyk miał za tę budowę zapłacić. Taka retoryka, uznały media liberalne, powinna Trumpa natychmiast zdyskwalifikować jako kandydata na urząd prezydenta! Nieustannie powtarzano więc jego wypowiedzi w pasmach informacyjnych i programach publicystycznych. Dziennikarze próbowali też obnażyć absurdalność samego pomysłu: wyliczali, ile będą kosztowały cegły, ile metrów powinien mieć mur i jak bardzo okaże się nieskuteczny (bo przecież wystarczy podkop albo wyższa od muru drabina). Wywołany do odpowiedzi były prezydent Meksyku, Vicente Fox, zapowiedział, że nie zamierza „płacić za pieprzony mur” – a tłum na spotkaniach z Trumpem mimo to wołał: „Zbuduj ten mur!”.

**Ameryka. Dom podzielony**

## **Jak prezydentem może być człowiek, który fatalnie traktuje kobiety?**

Na miesiąc przed wyborami „Washington Post” opublikował nagranie sprzed kilkunastu lat. Trump tłumaczy prezenterowi Billowi Bushowi swoje podejście do spotykanych na planie kobiet (rozmowa toczyła się w autobusie przed nagrywaniem kolejnego odcinka programu rozrywkowego *Access Hollywood*): „Kiedy jesteś gwiazdą, pozwalają ci na to. Możesz zrobić cokolwiek... Złapać je za cipkę. Cokolwiek”\*. Publikacja miała być tak zwaną październikową niespodzianką (*October surprise*), jak w amerykańskim żargonie politycznym określa się skandale, które wybuchają tuż przed listopadowymi wyborami. W samą porę, bo oskarżenia o molestowanie przez Trumpa zaczęły się mnożyć. Nie zrobiło to jednak wrażenia na wyborcach Trumpa. Październikowa niespodzianka polegała na tym, że zagłosowało na niego prawie 40% kobiet.

---

\* Cały fragment wypowiedzi w oryginale: *I am automatically attracted to beautiful – I just start kissing them. It's like a magnet. Just kiss. I don't even wait. When you're a star, they let you do it. You can do anything. Grab'em by the pussy. You can do anything.* Zapis nagrania ukazał się w „Washington Post” 7 października 2016 roku i był wielokrotnie cytowany przez liczne media. Zob. na przykład <https://www.nytimes.com/2016/10/08/us/donald-trump-tape-transcript.html>.